

JULES CLARETIE.

## TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

1

## I.

— Dom pana Bernardet? Na końcu pasażu, na prawo... Tak, tak, ten dom otoczony ogrodem i żelazniami sztachetami, który stąd widać doskonale!

Człowiek, któremu jakiś przechodzień dawał te informacje, skłonił się i przyspieszył kroku, nie zważając na zmęczenie i oddech ciężki spowodowany szybkim biegiem.

Dom, do którego podążał, mieścił się w głębi pasażu zabudowanego starymi, czerniejącymi domami, sklepami o dziwacznych, wypłowiałych szyldach.

Pasaż zaś ponury i opustoszały, wychodził na bulwar zewnętrzny gwarny, ruchliwy i wesoły, po którym uwijał się tłum hałaśliwy, zdążający spiesźnie do omnibusów i tramwajów, rozgałęzionych gęstą siecią w tej części miasta.

Człowiek, spieszący do oddalonego domku, miał wygląd robotnika, powracającego od roboty. Gruby był, barczysty i chociaż mrzył gęsty, październikowy deszczyk, biegł z odkrytą głową, dysząc ciężko i z trudnością chwytał powietrze.

Był on w rzeczywistości rzemieślnikiem i nazywał się Moniche. Od lat paru zajęty był jako dozorca w jednym z domów przy ulicy Clichy i w wolnych chwilach od obowiązkowych zajęć oddawał się krawiectwu, podczas kiedy żona jego zamiatała schody i pilnując ogólnego porządku, biadała bez przerwy na los swój nieszczęśliwy.

Według przekonania pani Moniche, życie było ciężkie i smutne. Kiedy miała lat 18 pełna była nadziei jaknajlepszych na przyszłość i nawet stanowisko dozorkczyni domu i żony krawca, nie wydawało się jej rzeczą najgorszą. Pocieszała się, że niekoniecznie musi się doczekać starości przy boku tego zapracowanego wiecznie i gderzącego męża. Los jest niekiedy łaskawy i niespodziewaną zmianę na lepsze przynieść może. Ale lata mijały, młodość już dawno pożegnała Moniche, a ona ze swojej roli dozorkczyni domu jakoś wyjść nie miała.

W dniu tym życie dało jej wzruszenie, oddawna nie przeżyte. Pani Moniche nie mogła narzekać na brak nudów tego jesiennego popołudnia. Wszedłszy przed chwilą do mieszkania pana Roverè, swojego lokatora, zastała go rozciągniętego na podłodze z oczami w słup stojącymi i podciętem gardłem! Pierwszy to był dramat krwawy, którego znudzona pani Moniche była świadkiem! Pan Roverè od lat kilku mieszkał w kamienicy przy bulwarze Clichy, zajmując niewielkie mieszkanie na drugim piętrze. Nie przyjmował nigdy u siebie nikogo, posepnym był i tajemniczy. Pani Moniche zajmowała się utrzymaniem w porządku jego pokoi. Wchodziła tam dowolnie, mając własny klucz do użytku — niekiedy nawet na prośbę swojego lokatora przeistaczała się w jego lektorkę.

No i teraz pan Roverè leżał bez życia, z raną okropnie krwawiącą na szyi! Pan Roverè został zamordowany! Widok ten uczynił wstrząsające wrażenie na pani Moniche. Ochłoniawszy cokolwiek, zbiegła szybko do łóża, w której pracował jej mąż i chwytając go za ramię zawołała zdławionym głosem:

— Biegnij prędko po policy! Zamordowano naszego lektora, pana Roverè!

Usłyszawszy słowo „policya“ pan Moniche wstrząsnął się nerwowo. Nie pomyślał jednak o przywołaniu komisarsza dzielnicowego, lecz powziął natychmiastowe przekonanie, że człowiekiem, który tu zawezwanym być powinien, był ten dobry i zany pan Bernardet, uchodzący za genialną głowę i najlepszego agenta w dyrekcyi policyi. Moniche znał oddawna pana Bernardeta, gdyż niejednokrotnie naprawiał jego stare ubrania i mundury.

Odległość z bulwaru Clichy do domka starego agenta nie była zbyt wielka i Moniche znał doskonale tę drogę, ale biedak był tak oszołomiony i przybity nagłym zjawieniem się żony, przynoszącej złowrogą wiadomość, iż stracił zupełnie zmysł orientacyjny i zmuszony był zasięgnąć informacji u pierwszego, napotkanego przechodnia. Kiedy nareszcie dobiegł do furtki ogrodowej, był tak zmęczony, że przystanął na chwilę, aby odetchnąć swobodnie. Wzruszenie jego wzmagalo się. Zdawało się mu, że jest pod wpływem jakiegoś niezdrowego snu. Morderstwo w jego kamienicy! W tej kamienicy spokojnej i cichej, zamieszkałej przez rentierów i urzędników! I to w biały dzień, w miejscu tak

ludnym, jak bulwar Clichy — w chwili, kiedy on najspokojniej sobie pracował w łóży swojej, nie przeczuwając niczego!

Patrzył, nie poruszając dzwonka, na mały domek pana Bernardeta i przypomniał sobie, że to był nie tylko dzień niedzielny, ale i dzień, w którym stary agent zwykł obchodzić imieniny swoje. Jeszcze wczoraj spotkawszy Moniche'a, wspominał o tej uroczystości rodzinnej.

Moniche pomyślał, że będzie bardzo niepożądanym gościem w tym cichym domku otoczonym drzewami i wahał się, będąc bardzo nieśmiałym z natury. W końcu zdobył się na odwagę i zadzwonił. Furtka otworzyła się natychmiast, zapraszając do wejścia. Przeszedł niewielki ogródek i podchodząc pod dom, ujrzał na progu małą, pulchną kobietkę, świeżą jak brzoskwinia.

— El panie Moniche! — zawołała potrząsając serwetą trzymaną w ręce.

— Moje uszanowanie, pani Bernardet — odpowiedział krawiec, drżąc ze wzruszenia.

— Ale co panu jest, panie Moniche? Dlaczego pan taki rozgorączkowany? Czy co się stało?

— Nie, nic, pani Bernardet, tylko chciałbym pomówić z panem Bernardet...

— Nic łatwiejszego — odpowiedziała młoda kobieta. Mój mąż jest w ogrodzie. Korzysta z ostatnich jasnych dni i robi grupę.

— Jaką grupę?

— Przecież pan wie dobrze. Fotografuje. To jego pasya. Proszę, niech pan idzie, panie Moniche.

Pani Bernardet wskazała krawcowi ręką długi korytarz prowadzący do ogródka rozciągającego się za domem, gdzie poczytywał pan Bernardet, korzystając z dnia świątecznego, pozował przy okrągłym stole trzy swoje małe córeczki, nakazując im siedzieć spokojnie.

Ujrzawszy Moniche'a, Bernardet zdaleka czynił mu znaki, aby się nie zbliżał. Ustawiał właśnie aparat i kręcił się koło niego zadowolony i wesoły.

— No — rzekł po chwili, odstawiając aparat — już koniec. Możecie teraz iść się pobawić moje dzieci! A co tam, panie Moniche? Czem mogę panu służyć?

Nie odwracając się, wyciągał z ziemi nóżki aparatu, podczas kiedy dziewczynki podskakując, pobiegły do matki.

— No, panie Moniche — powtórzył rzucając ukośne spojrzenie na milczącego krawca. — Co tam nowego? Ale natychmiast przenikniem swem spojrzeniem dostrzegł zmieszanie jego i błądność twarzy i zrozumiał, że musiało się stać coś niezwykłego.

— A tam co znowu? — zawołał — jesteś pan błąd jak chustka! Cóż się stało?

— Ah! panie Bernardet — wyszeptał Moniche, ocierając pot z czoła. Jest z czego być wzruszonym! Niech pan sobie wyobrazi popełniono morderstwo w moim domu!

— Morderstwo! — powtórzył Bernardet.

Twarz jego dotąd wesoła i rozpromieniona, zmieniła nagle wyraz i stała się skupiona i poważna. Duże niebieskie oczy błysnęły silnym ogniem.

— Tak jest, panie Bernardet! Morderstwo! Pan Roverè... pan zna pana Roverè?

— Nie — odparł agent.

— Zdawało mi się, że wspominałem panu o nim... oryginal! Człowiek samotny... zamordowano go... Moja żona przed chwilą wchodziła do niego...

— Kiedy morderstwo miało miejsce — przerwał ostro agent.

— A! panie Bernardet! Tego wiedzieć nie mogę... Wiem tylko tyle, że żona moja zastała zwłoki jeszcze ciepłe. Ona się niczego nie boi. Dotknęła ich...

— Jeszcze ciepłe...

Te słowa uderzyły Bernardeta. Zastanowił się chwilę, poczem zwrócił się do krawca.

— Dobrze. Chodźmy tam...

Ale nagle myśl jakaś zajaśniała w jego głowie, bo zwrócił się do drzwi i zawołał:

— Biorę to z sobą!

I odkręcił szybko aparat fotograficzny, przytrzymując go rzemieniem przez plecy.

— Mam jeszcze trzy płyty — to przydać się może.

Pani Bernardet, stojąca w głębi ogrodu z dziećmi, domyśliła się prędko, że Moniche przyszedł z jakąś niedobłą wiadomością, skoro spojrzała na twarz męża. Podeszła do niego szybko i rzekła z żalem.

— Odchodzisz? Naprawdę, odchodzisz?

— Muszę — odpowiedział Bernardet.

— Oh! mój Boże! A nasza niedziela! Ale wieczorem przyjdiesz i zaprowadzisz nas do teatru w Montmartre.

— Tego wiedzieć nie mogę.

— Obiecałeś przecież. Biedne dzieci! Tak się cieszyły na to przedstawienie.

— To trudno, moja kochana! Nic wiedzieć jeszcze nie mogę. Zobacz! To prawda, mój Moniche — dodał zwracając się do krawca — źle się złożyło! To dzisiaj dzień moich imienin! Obiecałem dzieciom teatr! Miałem wolny dzień. Co robić! Ale nie desperujcie jeszcze! Może będę mógł wrócić wieczorem! Postaram się o to. — No, Moniche, chodźmy do pana Roverè!

## II.

Pan Bernardet był w dyrekcyi policyi uznawany za osobistość dosyć oryginalną. Z pomiędzy agentów, rekrutujących się po największej części z niższych warstw miejscowej ludności, wyróżnił się inteligencją i zamiłowaniem nadzwyczajnym do czytania.

— Bernardet — mawiał szef do niego często — ty masz ambicje literackie, jak widzę. Strzeż się! Minałeś się z powołaniem — powinieneś być zostać dziennikarzem.

— Nie, panie Leriche — odpowiadał Bernardet — tylko, że ja, widzi pan, lubię interesować się wszystkim.

I tak było w rzeczywistości. Gdyby Bernardet nie był agentem policyjnym, byłby z pewnością zajął w świecie stanowisko wybitnego bibliotekarza, tak bardzo zajmowały go stare księgi i pergaminy. Był to typowy mól książkowy. Prowadził on od lat wielu podwójny tryb życia. W służbie surowy i obowiązkowy, tropiący z całą sumiennością „zwierzynę“ jak sam się wyrażał — w domu staranny ojciec rodziny, pielęgnyjący kwiaty swojego ogrodu i oddający się z zamiłowaniem fotografowaniu i czytaniu. Skupował książki gdzie się dało, stare broszury, dzieła naukowe, nawet roczniki dzienników — znajdując we wszystkim coś, co mogło zaspokoić jego ciekawość i umysł bystry łaknący nowych myśli i poglądów.

Nienasycona ciekawość była głównym czynnikiem jego życia. Trudne i przykre obowiązki agenta policyjnego spełniał z ochotą, bo w nich uczył się poznawać naturę ludzką i zadowalniały one jego pragnienie badania. Moralne przeciwieństwa różnych sfer społecznych interesowały go nadzwyczajnie. Jako obserwator przenikliwy i przeczulony przechodził z wytwornej sali opery lub pierwszorzędnej kawiarni, ubrany bez zarzutu w czarne, eleganckie ubranie — do zaułków najnieczystszych i brudnych, węsząc i śledząc niezmordowanie, podchwytyjąc rozmowy, łowiąc spojrzenia i gesty.

Pan Bernardet biegł teraz szybko ku bulwarowi Clichy, nie zwracając uwagi na biednego Moniche'a, który nie mógł mu dotrzymać kroku i pocił się i sapał niemiłosiernie.

Przed domem, gdzie dokonano zbrodni, tłum zbity zgromadził się już, tamując ruch uliczny.

— Oh! — zawołał Moniche, chwytając za rękę agenta. Czy widzi pan? Kiedy wychodziłem nie było tu jeszcze nikogo.

Bernardet zatrzymał się, patrząc uważnie na powiększające coraz więcej zbiegowisko.

— Moniche. — rzekł po chwili — Powinieneś być przedewszystkiem zawiadomić komisarsza dzielnicowego. Ja nie jestem urzędnikiem i władza moja jest tu bez znaczenia.

— Oh! Panie Bernardet — zaoponował Moniche — pan jest mądrzejszy od nich wszystkich.

— To nie o to chodzi. Komisarsz jest komisarszem i on tu być musi. Biegnij po niego.

— Ale skoro pan tu jest, panie Bernardet.

— Jestem z własnej woli, ale nie zawezwany z urzędu. I powtarzam ci Moniche, nie jestem wcale urzędnikiem policyi.

— A czemże pan jest, panie Bernardet?

— Najzwyklejszy w świecie policyant, rozumiesz mój przyjacielu — odparł z prostotą agent — Aresztuję, kiedy mi każą, ale na własną rękę śledztwa prowadzić nie mogę.

Mówiąc to Bernardet przeszedł ulicę i zbliżył się do tłumy. Wszyscy sąsiedzi zbiegli się już na miejsce wypadku. Szmer głośny rozchodził się wokoło, a oczy wszystkich błyszczały ciekawością i gorączką sensacji. To słowo „zbrodnia“ dziwnie magnetyczny wpływ wywierało na ten tłum żądny silnych wrażeń i widoków.

W tej samej chwili przed domem stanął powóz, z którego wyskoczył młody człowiek, wołając donośnym głosem:

— Gdzie jest pan Leriche! Chcę widzieć pana Leriche!

Szef policyi, nie będąc poinformowanym, nie znajdował się jeszcze na miejscu zbrodni. Ale wysoki, młody człowiek poznał natychmiast Bernardeta i przyczepił się do niego, podczas kiedy przez pół otwartą bramę Moniche usiłował torować im drogę do wnętrza domu.